№ 8. Piątek, dnia 20 Listopada 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 8 (20) listopada 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

PRZED ZIMĄ.

Otóż i zima ze śniegiem, mrozem i — z nędzą. Spadł już pierwszy płatek śniegu, a św. Marcin wjechał uroczyście. Na skonstatowaniu tylko faktu tego nie myślimy poprzestać. Pierwszy rąbek białego ziemi całunu wzbudza w nas więcej myśli... Prócz parasola i kaloszy więcej nieco nam przypomina... Snująca się pod murem czerń woła: „ratuj — nie pozwól zginąć z głodu i chłodu;" zziębły suteren mieszkaniec wzywa także pomocy; biedny student, grzejący się tylko ciepłem swej piersi, zasługuje również na litość. O pierwszych i drugich musimy pamiętać.

Srodze zawiódłby się ten, ktoby nas w obecnej chwili chciał posądzić o wezwanie do jałmużny. Dalecy jesteśmy od tego — pragniemy tylko rzucić kilka myśli, przekonani, iż ich urzeczywistnienie niejednąby łzę otarło, niejedną istotę cnocie zachowało.

Zaduszki wywołały w tutejszych dziennikach wiele krzyku i prozą i w wiersz ujętego. Skarżono się na „przeludnienie żebrackie," podano kilka bladych projektów i *finita la comedia!* Zresztą nie miała nic więcej prasa do spełnienia, jeżeli się zważy, iż zadaniem dziennikarstwa jest tylko wzięcie inicyatywy, wykonanie zaś do ogółu należy. Okazało się zatem, iż pochlubić się możemy mnogością żebractwa.

Z lenistwa rodzi się żebractwo. Jakieś przysłowie nawet mówiło, iż leniwymi są bogacze i żebracy. Siódmy ten grzech śmiertelny, znany po wsze czasy, dziś bardziej niż kiedykolwiek się rozszerza, całe tłumy żebractwa przeciągają ulicami lub zalegają piwnice, prowadząc życie kretów.

Przyzwyczailiśmy się uważać żebractwo jako *inutile pondus terrae*; dla żebraka prócz grosza jałmużny nic więcej nie ma ręka nasza... I w tem właśnie dopatrujemy przyczynę wzrostu tej wstrętnej tłuszczy, pomiędzy którą zaledwie kilka jednostek na wsparcie zasługuje. Grosz rzucony w kapelusz żebraka, gubi go zupełnie. Przy znanej dobroczynności ludu rzemiosło żebrackie stało się nader korzystne. Nie wymaga żadnej pracy, prócz dodania lichych akcesoryów, celem skuteczniejszego wyciśnięcia łzy współczucia. Spekulacyą „na serca" trudnią się dzisiaj nietylko upadłe fizycznie istoty, chwyta się jej nawet inteligentny próżniak, bankrut lub sprytny rzezimieszek.

Powtarzamy, iż źle zrozumiana dobroczynność wpływa na wzrost tej rzeszy; ona to mnoży żebractwo uliczne. Nie chcemy tu wykluczać jałmużny, wiemy bowiem, iż są tacy którzy na nią istotnie zasługują, radzibyśmy tylko usunąć to szafowanie gorszem, wywołane widokiem działającym na nerwy.

Zapytacie, co należy dać żebrakowi? Odpowiemy: pracę! Wspierajmy prawdziwą niemoc, niedołęstwo, lecz zdrowych a leniwych na inną popychajmy drogę. Jeżeli kieszeń nasza zamknie się dla wyzyskiwaczów i wstrętnych przemysłowców, zmuszeni oni zostaną jąć się uczciwego zarobku. Wskazujmy im instytucye, zakłady, przyrzekajmy wsparcie w razie poprawy, lecz nie demoralizujmy ich jałmużną, nie dostarczajmy im środków do prowadzenia próżniaczego żywota.

Ze względów ekonomicznych i społeczno-moralnych, zasada niewspierania na ulicy, powinna stać się obowiązującą. Filantropia niech się objawia w wyznaczeniu stałej ofiary, przelewanej do kas instytucyi dobroczynnych, wspierających systematycznie prawdziwe ubóstwo! Pozorny nędzarz uczuje wstręt do wszelkiego ustroju zakładów dobroczynnych, garnąć się tam będzie prawdziwa niemoc.

Zdaje nam się, iż myśl ta, gdyby stała się powszechną, przyniosłaby rzetelne owoce. Przysporzyć ona zdolna społeczeństwu nowych pracowników, co dotąd tylko byli paryasami. Okrywając płaszczem litości ubóstwo, ukraca się gnuśność i rodzi poprawę.

A teraz słówko o drugich!

Przypadłości niniejszej pory działają głównie na ubogie klasy. Dostatek nie zna zimna i głodu, ubóstwo chociaż pełne pracy, musi walczyć z tymi strasznymi wrogami. Często walka staje się zgubną i podkopuje fizyczną egzystencyą wytrwałych bojowników. Potrzeba pilnie zajrzeć w oczy tym biednym rzemieślnikom, temu moralnemu męskiemu i żeńskiemu proletaryatowi — jak się starają obronić, jak niełatwo padają... A jednak padają! Tu mała nieraz pomoc, drobny uczynek miłosierdzia, przynieść może prawdziwy ratunek. Powtarzamy, zimno i głód, to dwa groźne miecze wiszące nad głową tego nielękającego się pracy pospólstwa.

Próbowano pomódz tym biedakom. Zarząd miejski urządził noclegi w ciepłych salach, gdzie i skromny posiłek się znajdzie. Sale te, istniejące we wszystkich miastach, pojmujących filantropią, są nader skuteczne. Nieraz chronią one od śmierci lub występku. Pozwalamy sobie jednak zaprojektować — co już jeden z warszawskich felietonistów słusznie podniósł, aby przytułki te zostały zmodyfikowane, aby zamieniono je także porą zimową na dzienne, słowem by postąpiono w myśl ś. p. Staszyca, mówiącego o podobnych salach w swoim testamencie.

Czy nie możnaby sal takich zaopatrzyć ogólnemi warsztatami rzemieślniczemi, czy nie możnaby w nich ustawić kilku maszyn dla pracownic igły? Światło i ciepło zapewnione, niemało dodają do pracy otuchy. Modyfikacya taka sal noclegowych pokryć się da niewielkiemi opłatami pobieranemi od rzemieślników, nadto funduszem przeznaczonym łaskawie przez Zarząd miejski. Wreszcie i część zapisu Staszyca użytą być może w ten sposób, w myśl testatora, którego celem było usunięcie nędzy.

Wiemy, iż kilku młodych przedsiębiorców, krzątało się około założenia takich domów noclegowych, za tanią opłatą. Pora obecnie najstosowniejsza do urzeczywistnienia zamiarów...

Więc raz jeszcze powtarzamy: nie jałmużny potrzeba ale pomocy!....

Takie to myśli snują się przed zimą!

ŁZA.

Piękna pani siedziała sama w swym salonie,
Królowa zabaw— na dłoń pochyliła czoło
I marzyła— lecz o czem?.. możeo swym tronie,
Przed którym chór uwielbień świat rzucał wo-
[koło?..
Może o toaletach w balowym sezonie?..
Może o życiu, co tak płynęło wesoło?...
Nie! — snać inne do głowy cisną się widziadła
Bo na rączkę maleńką łza z jej oczu spadła.

Łza u królowej mody—łza szczera, prawdziwa,
Łza żalu czy tęsknoty, to rzecz nie do wiary!
Coby-to świat powiedział, który ją nazywa
Królową?— albo jej mąż niedołęga stary,
Co chyląc do jej kolan głowę swoję siwą
Zapłacił jej majątkiem za młodości czary?
Coby powiedział fryzyer, modniarka, tłum
[gości;
Że piękna pani płacze— i to nie ze złości!

Możeby doktór jaki zdania w tem udzielił,
Gdyby w tyglu dokonał łzy rozbiór chemiczny..
Może z motylów który by się rozweselił,
A koło pani krążył zbiór ich dosyć liczny,
Ludzie mówili nawet, że się gdzieś zastrzelił
Z miłości dla niej—jakiś młodzian eteryczny...
Cokolwiekbądź-by znaczyć to zjawisko miało,
Łza płynęła po twarzy, rosząc rączkę białą.

A teraz konkursowe ogłaszam zadanie,
Niech kto domyślny prześle słówko odpowiedzi:
Czego ta piękna pani płakać była w stanie?
Może ją ktoś zręczniejszy odemnie wyśledzi,
Może ją na podstępne pochwyci pytanie,
Lub podsłucha, co księdzu powie na spowiedzi...
Niech objaśni, kto słusznie tę sprawę ocenia
Czy to była łza święta—czy łza potępienia?

KAZIMIERZ ZALEWSKI.

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,

PRZEZ

A. H. Kirkora.

(Dalszy ciąg)

Zadziwiającą też jest rzeczą, że Rusini, zamieszkali na ziemiach węgierskich, zostawali przy greckim obrządku, kiedy na Litwie i we wszystkich trzech Rusiach, t. j. małej, białej i czerwonej, wszędzie już była wprowadzoną unia z kościołem rzymskim. Węgierscy Rusini zostali unitami zaledwo w roku 1768, staraniem rządu austryackiego.

Nadając zupełną swobodę sumienia, języka, narodowości, zdawałoby się, że Madziarowie uszczęśliwili ludy podległe ich panowaniu. Zapewne i te same ludy tak sądziły, bo były zadowolone, nie spiskowały, nie usiłowały zrzucić obcego jarzma.

Otóż i w tem widzimy mądrą politykę Ś-go Szczepana. Mędrszym on był od Niemców, którzy z podbojem łączą politykę wynarodowienia i ucisku.

A jednak dziś, kiedy prawie dziewięć wieków oddziela nas od owej pamiętnej konstytucyi Św. Szczepana, niejeden ze Słowian myślących złorzeczy w cichości owym błogim dążnościom Św. Szczepana. Taki Słowianin wolałby, gdyby ówcześni Madziarowie uciskiem, bezrządem, zgnębili Słowian, bo to wywołaćby mogło reakcyą; powstanie zaś ludów słowiańskich w owym czasie, szczególnie przed połączeniem się z Madziarami mężnych Połowców, byłoby śmiercią dla Madziarów, a zmartwychwstaniem dla Słowian.

W końcu, cóż widzimy w następstwie? Polityka Madziarów, mądra w początku, bo zapewniła im wewnętrzny rozwój i organizowanie się śród ludów im obcych; ale nie obroniła ich jednak później od przewagi i potęgi Niemców, tak, że w końcu i sami zginęli i tych, którzy w nich uwierzyli i im zaufali, do ciężkiej niewoli wciągnęli. Po wieloletnim ucisku i zgnębieniu Madziarowie dziś zaledwo usiłują wywalczyć te prawa i to stanowisko polityczne, które przed 900 prawie laty, były ich własnością.

Lecz dziś już i wewnętrzna polityka Madziarów inną jest. Dziś zasady Św. Szczepana szanowane jako tradycya, nie służą za podstawę obecnych pojęć i dążności, bo dziś Słowianin zamieszkały na ich ziemi, utracił już swoję samoistność narodową, bo panującą narodowością w całych Węgrzech jest jedna, madziarska.

Słowianie węgierscy, jak widzieliśmy, byli szczerze oddani Madziarom, dopóki ci szanowali ich narodowość; lecz w dzisiejszem stuleciu, skoro ta narodowość i prawa ich odwieczne pogwałcone zostały, Słowianie widząc, że Rosya Austryi pomaga w wypadkach 1848 i 1849 r., najzupełniej oddali się Austryi i wiernie jej służyli.

Kossuth należał tak samo do gnębicieli narodowości słowiańskich; dopiero w r. 1851 w ogłoszonym przez siebie projekcie organizacyjnym, wraca do dawnego systematu i nadaje najszersze prawa narodowościom słowiańskim.

Było to już zapóźno. Skoro utworzyło się państwo podwójne, Austryacko - Węgierskie, sejm peszteński uchwalił, że jedna tylko panuje w Węgrzech narodowość, a tą jest, madziarska.

Przejdźmy teraz do skreślenia krótkich zarysów ruchu umysłowego w ziemiach słowiańskich, podległych Węgrom.

Widzieliśmy już, że Madziarowie nie zdołali przenarodowić Słowian i ani jeden szczep im podległy nie zapomniał swej mowy ojczystej. Lecz gdy dziś Madziarowie pod względem oświaty, nauk, literatury, nawet sztuk pięknych, wysokie zajęli stanowisko, Słowianie na ich ziemi zamieszkali, niewielki postęp zrobili na drodze cywilizacyi.

Rozterki nieszczęsne domowe, które przez wszystkie wieki i u wszystkich szczepów słowiańskich zawsze stawały na przeszkodzie rozwojowi społecznemu, tak samo i tu stanęły na zawadzie wzrostowi piśmiennictwa.

U OGNISKA.

Rzucono obecnie myśl założenia czytelni, przeznaczonej wyłącznie dla kobiet. Korzystanie z tego źródła ma się odbywać tylko na miejscu. Nie potrzebujemy zdaje się przemawiać za potrzebą takiej instytucyi. Kobiety nasze, nie mogące czerpać z książnic publicznych, dla naturalnych ograniczeń, zmuszone są chwytać tylko strawę, jaką podają im biblioteki prywatne i czytelnie księgarskie. Pierwsze zapełnione przeważnie dziełami specyalnemi nie wystarczają, drugie zasypujące tylko romansidłami nowej szkoły francuskiej, zamiast nieść rozrywkę lub ukształcenie sieją zgubne teoryjki, paczą cnoty nasze, słowem gubią czytelniczki. Powody to ażnadto przemawiające za rychłem wprowadzeniem w życie instytucyi, której kierownictwa podjęła się także kobieta.

Przy tej sposobności jedno z pism tutejszych przypomina, iż p. Maurycy Orgelbrand czynił starania o urządzenie w Resursie Obywatelskiej czytelni doborowej, w którejby i osoby dojrzałe łaknące światła i młodzież znajdowała właściwe rzeczy.

Projekt ten, jak wiele innych, spoczął w falach zapomnienia. Z naszej strony popierając myśl założenia czytelni jak najsilniej, zapytujemy, czy nie możnaby ściągnąć tam wyłączonych mężczyzn i czy nie należałoby pozwolić na użytkowanie z dzieł także poza granicami czytelni. Podobne rozszerzenie się pierwotnego planu nie przedstawia podobno żadnych trudności.

Staszyc w testamencie swym zapisał sumę rs. 30,000 na założenie w Warszawie „domu zarobkowego” lub „sal zarobkowych.” Suma ta przez lat pięćdziesiąt była umieszczona w banku, obecnie wynosi około rs. 150,000. Przed półrokiem kwestya użycia tej kwoty w sposób najwięcej odpowiadający woli ofiarodawcy, żywo poruszała umysły i była przedmiotem wszechstronnych uwag prasy peryodycznej; od tego znowu czasu sprawa ta uległa chwilowemu zapomnieniu. Obecnie podobno już stanowczo rozstrzygnięto tę kwestyą i fundusz wzmiankowany ma być użyty na założenie wyższej szkoły rzemieślniczej. Bis dat, qui cito dat.

Prócz „Przeglądu miesięcznego,” wydawanego w Krakowie, pod redakcyą dra Skrochowskiego, doszedł nas w tych dniach pierwszy zeszyt krakowskiego „Przeglądu krytycznego,” który, zdaje się, będzie rozumowaną bibliografią. Redakcyi podjął się profesor Wincenty Zakrzewski. W numerze pierwszym są widoczne starania rozpatrzenia wszystkich objawów piśmiennictwa, czego dokonały dobrze polecające się firmy literackie.

Ze Lwowa nadesłano nam „Przewodnik naukowy i literacki,” wydawany przy tamtejszym urzędowym dzienniku. Pismo to zajmuje się przeważnie historyą polityczną i literacką, ekonomiką i statystyką tak w rozprawach samodzielnych jak i w przeglądach krytycznych.

Najliczniejszy szczep słowiański na ziemi węgierskiej zamieszkały, stanowią Słowacy, których ludność na Węgrzech prawie 2 miliony wynosi. Wszakże należą oni do 8 milionowej wspólnej rodziny z Czechami i Morawianami. Gwara słowacka jest odbiciem mowy czeskiej. Odcienia, raczej właściwości miejscowe są bardzo nieznaczne. Jakoż i piśmiennictwo słowackie nigdy za dawnych czasów nie miało żadnej odrębności; owszem, Czesi zawdzięczają Słowakom najznakomitszych swych mężów na polu nauk i literatury; dość jest tu wspomnieć zasłużone imiona, zarówno Czechów jak i Słowaków, ale na ziemi słowackiej zrodzonych: *Szafarzyka*, *Kollara*, *Liszka*, *Roznaja*, *Płachy* i kilku innych. A mimoto niesnaski i niedorzeczna chęć odosobnienia się i tu się zagnieździły, jeszcze w przeszłym stuleciu.

Najdawniejsze pomniki piśmiennictwa czeskiego przekonywają, że w odległej nawet przeszłości, język czeski w niczem się nie odróżniał od mowy słowackiej. Podbicie Słowaków przez Madziarów zatamowało drogę do kształcenia się w piśmiennictwie rodzinnem, gdy przeciwnie Czesi doskonalili swą mowę.

Po upadku mężnych Taborytów (1440), sławny ich wódz Iskra, z pułkami swemi wkroczył do Węgier i zajął górne krainy. On to wprowadził osadników czeskich, prześladowanych we własnej ojczyźnie, potomkowie ich zmieszani ze Słowakami, zapoznali się bliżej z zasobną już i dojrzałą literaturą czeską. Jak nauka Hussa z początku, tak później reformacya przeniosły prawie całą literaturę czeską do Słowaków. Zaś Słowacy i sami pisali i drukowali książki czeskie w Bardijowie, we Fresztaku, w Lewoczu, w Żylinie i t. d. Najsilniejszą łączność Słowaków z Czechami miała miejsce za Rudolfa II i Macieja, a za czasów Ferdynanda II nowe zastępy Czechów i Morawian przesiedliły się do ziem słowackich. Zdawało się, że wspólność mowy nazawsze utrwaloną i ugruntowaną została. Niejeden z uczonych i najznakomitszych mężów w kościele ewangielickim, jak np. *Jerzy Tranowski* (zm. 1637), *Szczepan Pilarzyk* (zm. 1675), *Daniel Synapius* (zm. 1684), *Daniel Krman* (zm. 1740), *Samuel Gruszkowicz* (zm. 1748), i inni przemawiali do Słowaków mową czeską biblijną. Katolicy słowaccy również używali ksiąg czeskich teologicznych i polemicznych. Marya Teresa, a później Józef II nakazywali, aby młodzież słowacka ćwiczyła się po szkołach w pisowni słowiańskiej, podług wzorów czeskich.

Nic to jednak nie pomogło. Znaleźli się na ziemi słowackiej ludzie, którzy dążyli do odrębności i do oderwania się od wspólności z mową i piśmiennictwem czeskiem. Niektóre odcienia w mowie ludowej, odmiany niejakie w wyrazach dały powód do zrodzenia idei utworzenia z gwary ludowej języka piśmiennego. (*d. c. n.*)

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY
Sierpień — Wrzesień 1874 r.
K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg)

III.

Odwiedziny Matejki.—Dom jego na Floryańskiej ulicy w Krakowie.—Salon i szkice obrazów.—Przedaż obrazu.—Pracownia malarza.—Zawieszenie dzwonu Zygmunta.—Bitwa pod Grunwaldem.—Hołd księcia Pruskiego na rynku w Krakowie.—Gamrat i Stańczyk.—Obraz ze Wschodu.—Ojciec Matajki—Brat starszy Frańciszek.—Krótki życiorys mistrza.—Jego obrazy.—Kostiumy polskie.—Szkoła sztuk pięknych w Krakowie.

Na dwa dni przed naszą wycieczką do *Pamieńskich-Skał*, odwiedziłem Matejkę 14-go września. Mieszka w swoim domu na Floryańskiej ulicy. Od r. 1829 był on w posiadaniu jego rodziców (Frańciszka Ksawerego Matejki i Joanny z Rozbergów), później braci, a w roku 1871 nabył go od swej rodziny, i wspaniale wyrestaurował.

Dom to wąski o trzech piętrach, z frontu ma trzy okna, a wierny jego wizerunek podały nam już *Kłosy*. Sam zajmuje pierwsze piętro, pracownię ma na trzeciem, drugie zaś piętro i dół wynajmuje.

Sień ciemna, schody jeszcze ciemniejsze: rozwidnia się nieco wszedłszy dopiero na pierwsze piętro. Im wyżej, tem jaśniej bo dach szklany daje światło.

Gdym zapowiedział odwiedziny moje, otwarto mi drzwi do widnego salonu. Tu na ścianach wiszą pierwotne szkice olejne do wielkich obrazów historycznych, jak: *Kazanie Skargi*, *Unia*, *Rejtan*, *Batory* i do mniejszych jak: *Zygmunt August i Barbara*, oraz parę portretów. Niedługo wszedł sam mistrz, którego od roku 1869 już znam bliżej. Nikła to i niska postać, twarz pociągła z orlim nosem: włosy w kędziorach, spadają na ramiona. W rozmowie uprzejmy i szczery, uśmiech ma szczególnej miły. Długośmy gawędzili: dowiedziałem się, że Batorego sprzedaje do Paryża i podał 30,000 guldenów, uważając tę sprawę za zagajoną.

— Potrzebuję funduszu, wyrzekł, na malowanie nowych obrazów, a odnowienie domu tego po rodzicach, wiele mnie kosztowało.

Wspomniałem mu, że u nas mówiono w Warszawie o cenie po 200,000 złp. tak za *Unię* jak za *Batorego*.

— Musiałem opuścić w cenie, abym co prędzej wziął się do pracy, którą mam na myśli.

— Słyszałem artystów, odrzekłem, którzy mówili: jaki to mądry Matejko, że studyując koni, w Batorym tylko łeb koński pokazał!

Uśmiechnął się na te słowa Matejko i poszliśmy do jego pracowni na trzecie piętro. Zdziwiłem się ujrzawszy świeżutki pokoik i ciasny, pamiętając jego pracownię na *Krupniczej* ulicy w której *Unię* wymalował.

Posunął fotel i wskazał mi obraz na ukończeniu, stojący na stalugach, mający może trzy niecałe łokcie wysokości a 6 do 7 długości.

Treścią tej cudnej kompozycyi jest chwila, 1520 roku, w której odlany słynny dzwon *Zygmunt* jest wciągany na wieżę obok zakrystyi Katedry na Wawelu.

Na rusztowaniu stoi ludwisarz *Jan Bohemus* z Norymbergi co go odlewał, i daje ha-

---

Wzmiankowane wydawnictwa zyskały wstęp do Królestwa i Cesarstwa.

W sferach artystycznych słychać, że podobno p. Macharzyńska, primadonna opery poznańskiej, a uczennica tutejszego Instytutu Muzycznego, ma przez czas jakiś występować gościnnie na scenie Wielkiego Teatru. Pani Macharzyńska ma mieć nader obszerny repertuar, co może dozwoli reżyseryi wprowadzić na scenę kilka oper, na które z powodu słabości pani Dowiakowskiej musielibyśmy czekać dosyć długo. W każdym razie, występy artystki teatru poznańskiego wpłynąć powinny na pewne urozmaicenie repertuaru opery i uwolnić jej zwolenników od takich niespodzianek, do jakich zaliczyć nam wypada ostatnie przedstawienie Fausta. Gdyby Gounod był się znajdował na tem przedstawieniu—natenczas niezawodnie, albo zapytałby swojego sąsiada, czyją grają operę, albo conajmniej, zwątpiłby o tem, iż stworzył arcydzieło. Patrząc na zmieniające się przed naszemi oczyma obrazy, nie wiedzieliśmy prawdziwie czy jesteśmy na przedstawieniu Fausta, czy też.... Fauścika! Kilka obrazów wypuszczono zupełnie, a i w tych, które były, tylu dokonano skróceń, tyle ustępów stransponowano lub obcięto, że z arcydzieła Gounoda, pozostało tylko... wspomnienie. Należałoby przynajmniej na tego rodzaju widowiskach, zwracać słuchaczom połowę ceny za bilety — chociaż i w takim razie, ani zawód doznany już przez publiczność, ani profanacya dzieła znakomitego mistrza, nie czemby się wynagrodzić nie dały. Dyrekcya naszej opery powinnaby się zastosować w wyborze dzieł przedstawianych, do sił artystycznych, jakiemi w danej chwili rozporządza. Lepiej wystawić *dobrze* operę mniejszych rozmiarów, aniżeli dawać wielkie dzieła do pierwotnej swojej formy bynajmniej nie podobne. Szczęściem dla lubowników dobrej muzyki, których w naszej Warszawie nie brak, że doznany w jednem miejscu zawód mogą sobie wynagrodzić gdzieindziej. Czego im nie da teatr, tego im dostarczą koncerty. A mamy ich już teraz dostatek, nie licząc tych wszystkich, które się na przyszłość zapowiadają. W zeszłą środę Towarzystwo Muzyczne wystąpiło z koncertem, którego program, z poważniejszych złożony utworów, wykonany był sumiennie. W poniedziałek znowu pan Feri-Kletzer dał koncert pożegnalny z wielce urozmaiconym i doborowym programem—a w niedzielę, jak zwykle, pp. Lewandowski i Kuhne przygrywali ochoczo wesołemu gronu publiczności, zebranej w sali obywatelskiej resursy.

Od niejakiego czasu odbywa się u nas w Warszawie obdzieranie na wielką skalę, naszych wyjałowionych kieszeni i suchotniczych portmonetek, pod firmą: *wyprzedaży wyrobów francuskich, ze stratą 60% byle ich tylko nie przewozić napowrót do Francyi*. Bardzo słuszny i sprawiedliwy warunek, skoro podobne śmieci, bez żadnej wartości, tak korzystnie można u nas spieniężać. Podobne towary w Niemczech w sklepach pod firmą: *alles zu böhm* po trzy kopiejki w sprzedaży detalicznej się nabywają, tu zaś sypią się za to jeśli nie ruble to najmniej złotówki. Ruch też z tego względu na Nalewkach, zwłaszcza wieczorem ogromny, o ile bowiem Francya traci na

sło do windowania tego olbrzyma dzwonów, mającego dwanaście łokci w obwodzie. Całą siłą, ciągną go krzepaki w górę na linach; na rękach jednego widać żyły naprężone z wysiłku. Tej czynności, jest obecną królewska para z rodziną. Bona siedzi w wielkiem krześle jakby na tronie, w całym uroku wdzięków i piękności. Obok niej stoi Zygmunt pierwszy. Za krzesłem cała rodzina i dwór monarchy. U nóg królowej leży nadworny trefniś *Stańczyk* ulubieniec Zygmunta. W dali nieco, widać Katedrę Wawelską. Pomiędzy ludwisarzem, a trefnisiem stoi wyniosła postać lutnisty nadwornego, który trzyma lutnię ale bez strun metalowych; zerwał on je (wedle podania) wtedy gdy dzwon odlewano, aby stopiły się razem, a przez to miał ton lutni.

Ztąd poeta mówi:

„A *Zygmunta* dźwięki
Zmierają wdali jak echo piosenki,
I tylko w duszę mą głos się ich leje,
Bo z niego pamięć o przeszłości wieje!"

Jest to dzwon jeden z największych nietylko w Krakowie. Król Zygmunt I. kazał go odlać za 30,000 złp. dzisiejszych i na cześć swego patrona nazwał *Zygmuntem*. Półczwarta wieku z górą już dzwoni staremu grodowi, bo okrągło lat 354—a mieszkańcy Krakowa zaraz rozeznawają dźwięk jego, gdy w wielkie święto, najmniej ośmiu silnych ludzi w niego uderzy.

Kiedy z zachwytem wpatrywałem się w to arcydzieło wielkiego malarza, Matejko na dwóch obok siebie stalugach zaczął ustawiać szkice olejne do nowych obrazów.

Pierszym był: *Bitwa pod Grundwaldem.* Na środku obrazu na dzielnym koniu, z mieczem w górą wzniesionym, w galopie, Witold przebiega pole bitwy, tratując rozbitych knechtów.

— To bohater tego dnia! rzekł mistrz do mnie.

Wpobliżu z ogromnego freza karego, który jest w poskoku, spada Mistrz Wielki w przepysznej zbroi, obalony pułkami na pół nagich Litwinów: za nim widać jazdę polską łamiącą w żelazo okutych krzyżaków. W oddali na zielonym pagórku, stoi król Jagiełło na koniu otoczony orszakiem konnych.

Matejko mówił:

— Obraz to będzie dwa razy większy jak Batory, bo ludzie i konie naturalnej wielkości.

— Cóż to za tłumy, co za masa figur! zawołałem.

— Czego tu niebędzie! odrzekł mi na to mistrz z miłym jak zawsze uśmiechem.

I zaraz na drugich stalugach ustawił szkic drugi, przedstawiający hołd księcia pruskiego złożony królowi Zygmuntowi pierwszemu na rynku krakowskim.

Na wspaniałym tronie, siedzi ten monarcha, otoczony senatorami i panami rady, oraz licznym dworem. U nóg jego klęczy lenny książe i przysięga na wierność; orszak jego, rynek z drugiej strony wypełnia. Widać Sukiennice, i w oddaleniu wieżę kościoła Panny Maryi.

— To będzie takich samych rozmiarów jak bitwa pod Grunwaldem, mówił Matejko, wiele będą pracy wymagać....

— I wiele lat! dodałem.

— Proszę Boga, odrzekł mi na to rzewnym głosem, aby mi dozwolił te dwa obrazy wykończyć—a potem niech się dzieje Jego wola.

Spojrzałem uważnie na Matejkę, ale odetchąłem swobodnie, po pięciu latach niewidzenia żadnej w nim niedostrzegłem odmiany. Dobry Bóg zachowa go nam na długo!

Powstawszy z fotela, ujrzałem dwa obrazy już dobrze podmalowane, jeden większych rozmiarów, drugi mniejszych. Pierwszy wysokości do pięciu łokci mający, przedstawia....

— To humorystyczny obraz, wyrzek Matejko....

Z większą jeszcze ciekawością zacząłem mu się przyglądać,

Przedstawia Zamek Krakowski, z okien jego bije jasna łuna, snać komnaty rzęsiście oświetlone i huczna w nich zabawa. Wierzeje zamkowe roztwarte, przy nich stoi *bramnik* z kluczami. Z zamku wyszedł *Gamrat* dobrze nasycony, a obok niego *Stańczyk* trefniś. Widać że prałatowi szepnął do ucha jakiś wesoły dowcip bo Gamrat z serdecznym śmiechem, ramieniem odsuwa go od siebie, ale spogląda nań z uciechą. Przed nimi idą lutnista i dworzanin z pochodnią.

Już to Stańczyk, którego pamięć wysoko podnosił Rej, a po nim Marcin Bielski, jest ulubioną postacią Matejki. Przypomnijmy sobie, jak go w *Kłosach* w odzielnym przedstawił obrazie w postaci na uboczy siedzącego w smutnem zadumaniu, w samotnej komnacie Zamku krakowskiego, gdy w innych huczy gwarna zabawa. Widzimy go teraz u nóg Bony i jako towarzysza Gamrata.

Zbliżam się do drugiego obrazu i widzę z podziwiem scenę ze wschodu....

— A skąd się kochanemu panu wzięło malować takie sceny? zapytałem.

— W przeszłym roku, (1873), byłem w Stambule, odrzekł mi na to, i w Azyi, i jako wspomnienie namalowałem.

Obraz przedstawia morze—po spokojnem jego zwierciadle przepływa łódź duża. W niej siedzi opasły turek i kilku niewolników białych i czarnych, którzy topią dziwnie piękną hurysę. Cudne kształty jej ciała, przeglądają przez czystą wodę, w której częścią już tonie, i głowę o obliczu zachwycającem podnosi z toni, jakby wołając ratunku. (*d. c. n.*)

CIEPŁO i ŻYCIE.

Zachodzi teraz pytanie, jaką ilość ciepła produkują te reakcye?

Lavoisier z tlenu pochłonywanego przez zwierzę, oraz z wyziewanego przezeń kwasu węglanego i pary wodnej, oznaczał wagę spalonego węgla i wodoru. Według jego obliczenia, człowiek ważący około 150 funtów, w ciągu dwudziestu-czterech godzin, w temperaturze średniej Paryża, spala 313 gramów węgla i 22 gramy wodoru, wytwarzając w ten sposób 3297 jednostek cieplikowych. W tymże czasie traci on w oddychaniu płucnem i w parowaniu skórnem, 1243 gramów pary wodnej pozbawiających go 697 jednostek cieplikowych. Pozostaje więc jeszcze do rozporządzenia ekonomii, 2600 tychże jednostek. Według nowszych obliczeń, człowiek średniej wagi, produkuje dziennie w umiarkowanym klimacie

wyprzedaży swych wyrobów dziennie, o tyle wieczorną porą dopełniają usłużni żydkowie ów deces, aby znów nazajutrz narażać Francyą na nowe straty, w stosunku 60%.

Skutkiem jednakże tak zręcznie z góry obmyślanych i przewidzianych strat, nietylko dom handlowy w Paryżu i Wiedniu Ruolz-Dolent, Bazar de Paris e *tutti quanti*, ale główne dostawcy z Nalewek, świetne robią interesy, mając łatwą i korzystną sposobność oczyszczenia swych składów i magazynów z niepotrzebnych rupieci.

Okoliczność ta powinnaby skłonić do najprędszego, ile można, zamienienia w czyn projektowanej kanalizacyi miasta, choćby tylko dla oczyszczenia mieszkańców z podobnych produkcyi francuskich, które dotąd odbywają się kosztem łatwowiernych i niedoświadczonych, najrozliczniejszemi środkami wyzysku, eksploatowanego za pomocą różnobarwnej blagi i szarlataneryi.

Na brak ruchu i życia na warszawskim bruku uskarżać się obecnie zaiste nie godzi. Fakty i projekty zaprzątają umysły. wszystkich Do faktów zaliczyć należy uznanie planu pana Daniszewskiego co do regulowania Wisły, o czem czytelnikom naszym już donosiliśmy. Rzeczywisty Radca Stanu Iwaszewski zaaprobował ów projekt, skutkiem czego przedsięwziętą zostanie próba przy brzegu prazkim na wprost wodociągu. I tak zbudowaną zostanie tama zwracająca prąd rzeki, co wpłynie na usunięcie piasków, oczyszczenie ścieków kanałowych i wody. JW. Jenerał Gubernator Hrabia Kotzebue przyzwolił na to, polecił przygotować wszelkie środki a nadto wyznaczył do pomocy w robotach oddział saperów. Rezultatów czekamy z niecierpliwością. Sprawa dezinfekcyi także się obecnie klaruje. W rzędzie świeżo poruszonych kwestyi stanęła kwestya giserów i drukarzy, którzy pod naciskiem opinii publicznej przeprowadzą reforme w swem stowarzyszeniu. Gwar niemały panuje w teatrze, wystawiono bowiem w bieżącym tygodniu, operę-komiczną: „Perichola" Meilhac'a i Halevy'ego z muzyką Offenbacha, i „Flecistę" Augier'a, w przekładzie W. Szymanowskiego, a oprócz tych dwóch ma być wystawioną trzecia komedya p. K. Zalewskiego: „Z postępem." Koncertanci także nie śpią. W krótce popisywać się będzie panna Jakubowicz, pianistka, po niej da koncert panna Szlezygier, sympatyczna naszej opery śpiewaczka. Wybierają się wreszcie Wilhelmi ze skrzypkami, mistrz dzielny co się zowie, dalej pp. Antoni i Mikołaj Rubinsteinowie z fortepianem, którym to instrumentem władać będzie i panna Anna Mehlig. W końcu zapowiadają przyjazd króla tragików Rossiego z całym zastępem signoryn i signorów recytujących włoskie dramaty.... Uf! odetchnęliśmy.... Lecz jeszcze jedna zabawka: Salamoński buduje arenę celem wznowienia cyrkowych igrzysk.... Tchu już braknie... wody! wody chociażby z Wisły fale jej bowiem już się podniosły a przeszły spadek należy przypisać tylko suchej jesieni co wypiła nawet Ren olbrzymi. Nie posądzać nam zatem Wisły o dziki kaprys....

3250 jednostek cieplikowych, to jest ilość ciepła zdolną doprowadzić do zawrzenia 32½ kwart wody. Cyfry te, dają nam przynajmniej pewne wyobrażenie o sile cieplikowej, tego ogniska płonącego w machinie zwierzęcej.

Najnowsze spostrzeżenia w tym przedmiocie, zawdzięczamy termochemii. Według doświadczeń Favre'a, Silbermana i Berthelota, ciepło zwierzęce wytwarza się pod wpływem różnych przekształceń: jakoto, utrwalania się tlenu w zasadach organicznych, produkcyi kwasu węglanego i wody, oraz jej przemian.

Na wytwór ciepła w machinie zwierzęcej wpływają pokarmy—jak jednak wyjaśnić tę nieustanną produkcyą ciepła w organizmie? Nie ma wątpliwości, że to ciepło jest przyczyną wszelkich poruszeń zwierząt, że przekształca się ono w pracę. Ruchy zwierząt w rzeczy samej, pochodzą z ciepła nagromadzonego w ich organach, które krew przebiega. Jeżeli jednak wszelki ruch istoty żywej, jest wynikiem przekształcenia się ciepła zwierzęcego w pracę, to z drugiej strony, nie cały jego zasób w nią się przeistacza, gdyż pewna część ciepła, służy do utrzymania jednostajnej temperatury w organizmie. Praca machaniczna spełniana przez zwierzęta, jest wielce złożoną. Niezależnie od ruchów widocznych, odbywa się wewnątrz ciała jej proces, a mianowicie w przebiegu krwi, w kurczeniu się i rozszerzeniu rozmaitych części ustroju. Owóż te wszystkie sprawy, zależą od oddychania—stawmy przeszkodę napływowi krwi do jakiego mięśnia, palenie się powstrzyma, a tem samem ciepło nie wytworzy się, i mięsień nie będzie mógł się kurczyć. Przewiążmy tętnicę doprowadzającą krew do tegoż mięśnia—napływ jej osłabnie, organ oziębi się i utraci swą siłę. Doświadczenia Hirna, Beclard'a, a w ostatnich czasach Onimusa wykazały ścisłe związki, zachodzące między ciepłem a ruchem mięśni. Tak więc ruchy zwierzęce zależą od ciepła, to zaś od procesu oddychania, na które znowu wpływa pożywienie przez zwierzę przyjmowane.

Mięso i materye tłuszczowe, zastępują w daleko krótszym czasie ubytki ponoszone przez ekonomią zwierzęcą, niż materye roślinne. Te ostatnie najodpowiedniejszemi są dla mieszkańców krajów gorących niepotrzebujących wytwarzać ciepła, którego dostarcza im obficie pałająca żarem atmosfera. Mieszkańcy krain biegunowych, przeciwnie, potrzebują wiele mięsa i tłuszczów, gdyż w skutek spalenia się ich w organizmie wywięzuje się ciepło.

Konieczność fizyologiczna zmusza Lapończyków do żywienia się tłuszczem z wielorybów, a z drugiej strony, plemiona zamieszkałe pod zwrotnikami, zniewala do przyjmowania lekkiego posiłku. Palenie się zachodzące w oddychaniu i natura pokarmów, zmienia się odpowiednio do klimatów, w ten sposób, że zachodzi pewien węzeł między stanem cieplikowym ośrodka, a ciepłem ogniska zwierzęcego. Ludzie ciężko pracujący potrzebują więcej pożywienia od pracujących mało, i niewiele używających ruchu—próżniaki nie mają zwykle wielkiego apetytu. Stół robotnika powinien składać się z mięsa,—pożywienie prawie wyłącznie roślinne, wpływa nań fatalnie. W ciągu roku traci taki robotnik przynajmniej piętnaście dni, które odtrącić potrzeba z jego zarobku lub działalności, na utrudzenie i chorobę. Przy użyciu mięsa, robotnik średnio biorąc, traciłby tylko trzy dni w roku. Wódka nieodżywia człowieka, nie zastępuje mu pokarmów po silnych, podnieca na chwilę tylko ekonomia, którą następnie rujnuje straszliwie. Najskuteczniejszem lekarstwem oddziaływającem na opilstwo, byłoby obniżenie taksy mięsa. Pod względem stosunków zachodzących między ciepłem a ruchem, wszelka istota żywa może być porównaną z machiną parową. W obu razach, ciepło wytwarza się z palenia i przekształca w pracę mechaniczną. Wszelako jestestwo żywe jest machiną daleko doskonalszą. Machiny parowe najwyborniejsze, użytkują zaledwie z 0,12 siły rozporządzalnej, układ zaś mięśniowy człowieka, według Hirna, daje 0,18 siły.

Według niektórych fizyologów, ciepło nietylko jest źródłem ruchu w ekonomii zwierzęcej, ale nadto przekształceń, zachodzących w działalności nerwowej. Czynności więc mózgowe, a tem samem umysłowe, byłyby zależne od ciepła. Doświadczenia Valentin'a, Lombarda, Byassona, a głównie Schiffa, w rzeczy samej uwidoczniły pewien węzeł, między funkcyami nerwowemi, a temperaturą w jakiej one zachodzą. Jednakże w mięśniach siła objawia się na zewnątrz widocznie, w nerwach zaś działająca ukryta jest wewnątrz. Wielu zresztą fizyologów, upatruje związki istniejące pomiędzy ciepłem a inteligencyą.

Niedostateczne pożywienie oddziaływa na ciepło zwierzęce, chociaż nie bezpośrednio. Organizm utrzymuje się w jednakowym stanie ciepła, aż do chwili, w której mu zabraknie materyałów opałowych. Ciało wówczas oziębia się w stopniu znaczącym. I tak, królik pozbawiony żywności, posiada w pierwszym dniu 38,4 stopni ciepła Cel.—na dwa dni poprzedzające śmierć jego 38,1 stopni—w przeddzień 37, w chwili nakoniec śmierci 27 stopni.

Wprowadzając królika w tej krytycznej chwili życia, do ośrodka ciepłego, odzyskuje on na pewien czas pozorną działalność funkcyi—wszakże niedługo potem śmierć następuje, gdyż elementy anatomiczne utraciły siłę.

Ręka człowieka cierpiącego na katar płucny, lub dręczonego gorączką, jest rozpaloną, chorego zaś na astmę lub rozedmę (emphysema), bywa zimną jak marmur. Jest to dowodem, że ciepło zwierzęce przechodzi w rozmaite stany patologiczne. Ciepło to, raz się wznosi to znowu obniża, nigdy wszakże w stanie chorobliwym nie odpowiada ono normalnej temperaturze ciała. Za czasów Hippokratesa, gdy jeszcze nie radzono się pulsu, podniesienie temperatury ciała, przypisywano jedynej chorobie, to jest gorączce. Galien nazywał ją poprostu ciepłem nadmiarowem (Calor proeternaturalis substantia febrium). Starożytni nie mylili się. Zbytek ciepła zwierzęcego, jest w istocie cechą gorączki. Gdy ciepło ciała przechodzi 38 stopni, następuje gorączka—gdy zaś obniża się do 36 stopni, zachodzi wówczas skostnienie. Ciepło zatem normalne, utrzymuje się w granicy nie przechodzącej dwóch stopni. Powyżej 38 stopni i poniżej 36, temperatura jest wskazówką stanu chorobliwego. W zapaleniach, zwłaszcza też płucnych, po upływie dwóch dni, temperatura wzrasta do 41 stopni, utrzymuje się z różnicą ½ lub jednego stopnia przez 3 do 7 dni, poczem choroba kończy się wyzdrowieniem. Jeżeli temperatura powiększa się stopniowo po trzech dniach, stan chorego jest rozpaczliwym—straszliwy cios śmierci mu zagraża. Ciepło wysokie, ciągle utrzymujące się, jest zwiastunem skonu. W szkarlatynie, w ospie, ciało dosięga coraz wyższego stopnia ciepła, do chwili wyrzucenia się plam lub krost—w zatruciach przeciwnie, ciepło znacznie się obniża.

Przyczyn nadmiernego podniesienia się ciepła w organizmie, dotąd jeszcze dostatecznie nie znamy. Niektórzy lekarze upatrują w tem zjawisku skutek fermentacyi wywołanej we krwi przez pewne jestestwa mikroskopowe, jako to: bakterye i wibryony. Inni utrzymują, że organ uległy zapaleniu, komunikuje ciepło reszcie ciała, jak kaloryfer umieszczony w miejscu zamkniętem. Zdaje się jednak, że siedlisko choroby tkwi w nerwach, gdyż te są regulatorami ciepła.

Jedynym środkiem oznaczenia temperatury ciała uległego chorobie, jest ciepłomierz. Myśl tę powziął pierwszy Swammerdam, w połowie XVII wieku. W ostatniem stuleciu skorzystali z niej Haën i Hunter—ciopłomierz jednak w ostatnich dopiero czasach zyskał szersze zastosowanie, dzięki pracom Bouilland'a, Rogera, Hirtza, Charcot'a we Francyi—Traube'go zaś, Baerensprung'a, a zwłaszcza Wunderlicha w Niemczech. Lekarze ci śledzili w chorobach temperaturę w każdej godzinie, w każdej fazie patalogicznej. Wykryli oni, że w każdej chorobie n stępują pewne oscylacye ciepła, zmieniające się odpowiednio do zadawanych lekarstw. Śledząc te fluktuacye ciepła, dyagnoza może z nich czerpać pewne wskazówki.

Wypada nam teraz poznać wpływ ciepła zewnętrznego na zwierzęta, i rozmaite zjawiska wypływające z podniesienia się lub z obniżenia temperatury ośrodka, w którym one żyją. Prace Boerlidav'ego a więcej jeszcze Bergera i Delaroch'a, rozświetliły tę kwestyą. Pomieszczali oni zwierzęta w kadziach, obejmujących powietrze ogrzane w rozmaitym stopniu, i badali skutki termiczne wywierane na życie. Doświadczenia ich okazały, że wszelkie zwierzę przez pewien czas, opiera się działaniu ciepła. Zwierzęta mniejsze w bardzo krótkim upływie czasu, kończyły życie w temperaturze 45—50 stopni Celsiusza—zwierzęta większe znosiły dłużej nadmierne ciepło. W ogóle zwierzęta posiadające krew zimną i poczwarki owadów, opierały się dzielniej wpływowi ciepła. niż zwierzęta cechujące się krwią gorącą. Przeciwnie, owady zupełnie rozwinięte, nie wytrzymywały długo gorąca.

Berger i Delaroche, badali podtym względem człowieka, i przekonali się że ciepło działa tu zmiennie, odpowiednio do natury osobnika. I tak w temperaturze 49 do 58 stopni, Delaroche tak zasłabł, że go wyniesiono z łaźni ogrzanej powietrzem—Berger zaś w tymże stopniu ciepła, prawie nie uczuwał znużenia. W innem doświadczeniu Berger mógł zaledwie pozostawać przez 7 minut, w łaźni rozgrzanej do 87 stopni Blagden zaś—wytrzymywał to ciepło przez 12 minut.

W krainach zwrotnikowych, temperatura w ciągu dnia często wznosi się do czterdziestu kilku stopni, nie wywierając żadnych złych skutków, na mieszkańców tej ziemi rozpalonej. Na przyładku Dobrej Nadziei, ciepłomierz wskazuje 43 stopnie, niekiedy jednak upał bywa zabójczym. W miesiącu Czerwcu 1738 roku, na ulicach miasta Charlestown, wiele osób postradało życie, w skutek powietrza rozżarzonego do 41 stopni. Żołnierze francuscy w Afryce często po długim pochodzie, padają w skutek gorąca, chociaż w tym razie ciepło wraz ze światłem oddziaływa. Duhamel opowiada o służących pewnego piekarza, które pozostawać mogły przez dziesięć minut w piecu, przeznaczonym do wypieku chleba, nie znosząc żadnej przykrości. Powtarzały to kilkakrotnie, bez wszelkich złych następstw. Znoszenie gorąca, ułatwiała im przecież wielce odzież, jakiej z siebie nie zdejmowały.

Zwierzę przez niejaki czas może znosić bardzo wysoką temperaturę, gdyż silne parowanie skóry, przeszkadza zbytecznemu rozgrzewaniu się organów. Nadmienić przecież winniśmy, że jak tylko ciepło wewnętrzne ciała wzniesie się do kilku stopni powyżej właściwej mu temperatury, utrzymanie życia staje się wówczas niemożebnem. Na tym stopniu wiadomości, pozostawała nauka do 1842 roku, w którym Klaudyusz Bernard podjął nowe poszukiwania. Przyniosły one żywe światło wiedzy przyrodniczej. Fizyolog ten używał skrzyni jodłowej, na dwie części podzielonej okratowaniem, na którem pomieszczał zwierzęta

poddane doświadczeniu. Skrzynia spoczywała na tafli blaszanej, ta zaś na ognisku ogrzewającem słabiej lub silniej powietrze przyrządu. Okienko boczne w tymże przyrządzie osadzone, pozwalało dowolnie wychylać głowę zwierzęcia po za skrzynię. Z pomocą takiego urządzenia, Klaudyusz Bernard sprawdził doświadczenia Bergera i Delaroche'a, i poczynił obserwacye niepospolicie ważne. Boerhaave przypisywał śmierć napływowi powietrza gorącego do płuc, przeszkadzającego odżywianiu się krwi, Bernard uwidocznił, że powietrze gorące działające na skórę, wytwarza temperaturę daleko więcej zabójczą. Sprawdził on również, że gdy powietrze jest gorące i wilgotne, śmierć następuje prędzej i w temperaturze niższej, niż w powietrzu suchem. Pochodzi to stąd, że wilgoć sprzyja silniejszemu rozgrzewaniu się ciała. Każdy z nas łatwo to sprawdzić może na sobie w łaźni. Biorąc tę kąpiel *na sucho*, to jest nie oblewając się wodą, wytrzymujemy daleko wyższą temperaturę. (*d. n.*)

Znakomici mężowie i kobiety
W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

Kto przeglądał dawniejsze podręczniki do dziejów naszych, tego z pewnością uderzy rodzaj pustyni, w jakiej naczelnicy narodu występują. Czytając opis życia Mieszka Lamberta I, jego syna Bolesława Magnusa, i dalszych ich następców, daremnie się szuka towarzyszy ich trudów społecznych, dyplomatycznych i wojennych, próżno się oglądamy za spółpracownikami w dziele, któremu bądź co bądź sami władcy owi podołać nie byli w stanie.

Taki sposób opowiadania, ma nawet pewną złą stronę. Jest nią zaś wyrobienie w czytającym fałszywej oceny, grubego złudzenia optycznego co do źródła czynów dokonanych pod rządami, któregobądź z tych książąt. Nie znajdując nikogo wspomnianym, ktoby obok panującego na scenie dziejowej występował z nim spółcześnie, łatwo popadamy w błąd przypisania jednej osobie rządzącej sumy czynów całego ówczesnego społeczeństwa. To co jest rezultatem wypadłym z połączonej działalności mnóstwa jednostek, to składamy na karb jednej, i tym trybem urastają naraz postacie króli wróżebnych, bohaterów olbrzymich...

Wonczas stwarzamy fakt zagadkowej natury, znany pod nazwą wielkich ludzi. Powolne działanie mas całych streszczamy w pojedynczych osobnikach, które może i są niekiedy umyślnym wytworem społeczeństwa, delegującego z łona swego zastępcę zbiorowej swej działalności dotychczasowej, i mają dokonać, zerwać dojrzały owoc długich trudów poprzednich— ale które *eo ipso* na początku życia dziejowego zjawiać się nie mogą. Prędzej można zgodzić się w tej mierze z Bossueta teoryą, która np. w wyrobionym przez bieg czasu ustroju moralnym rzymskiej rzeczpospolitej, w jej *temperamencie* upatruje konieczną przyczynę obfitości bohaterów, i odrzuca zupełnie wykład ich bytu przez „przypadek." Przypadek bowiem, tak w oczach Bossueta jak Darwina, jest pokrywką naszej nieświadomości co do istotnych przyczyn jakiegoś zjawiska.

W oddaniu kierownictwa dziejów Bogu, zgadza się i Guizot z Bossuetem, ale zupełnie się różni w ocenieniu genezy wielkich ludzi. Wprost wyznaje, że nikt nie potrafi powiedzieć dlaczego w pewnym okresie czasu, zjawia się wielki człowiek, i w czem przykłada się do rozwoju świata. Jestto tajemnica Opatrzności, niemniej jednak widoczna, a choć nieraz potęga tych bohaterów jest tyrańska i błędną, nieraz bywa chlubną i zbawienną, ponieważ nadaje, ręką człowieka, ludzkości ruch wielki i popęd.

W tym poglądzie indywidualne pobudki i jednostce tylko służące okoliczności, warunkują jej działanie. Wielki człowiek, wedle Guizota, w sobie znajduje jedynie źródło chęci naprawienia społeczeństwa, i z własnej wewnętrznej zmiany czerpie żądzę przeprowadzenia podobnejże reformy, w otaczającym go świecie.

Teorya ta zgadza się zupełnie z mniemaniem Szajnochy, który np. Bolesława Magnusa czyni takim mężem opatrznościowym, jego działaniu przypisuje symboliczne znaczenie, dla całych potomnych dziejów, w jego roli historycznej dopatruje się przepowiedni na całą przyszłość. Taka ocena pierwszego z lepiej znanych władców kraju, podnosi go do znaczenia typu; jego postać zasłania, ogół poza Bolesławem nie widzimy narodu, w życiu jednostki skupia się, wedle teoryi Szajnochy, całe społeczeństwo.

Wskutek takich zsumowań mas w jednostki, wpadamy w błąd drugi, będący koniecznie skutkiem odjęcia znaczenia społeczeństwu, unicestwienia go wobec jednej osobistości. W opowieści jednej cząstki dziejów, wspominając tylko o panujących, w następnym okresie znachodzimy objawy życia całego społeczeństwa. Zmiana ta dla nas pozostaje ciemną zagadką, bo nic nas nie objaśnia czemu dotąd widzieliśmy pojedynczych bohaterów, wśród martwej tłuszczy komparsów, a naraz chór ten zawodzący tylko skargą lub pieśnią tryumfalną współzawodniczy z dotychczasowym protagonistą, i nawet go zaćmiewa? Po dotychczasowym jednym deus ex machina, teraz ich dziesiątki i setki się zjawiają.

A gdzież klucz do tajemniczego tego procesu?

Nieśmiertelny Vico w swej Scienza Nuova przestrzegał o tym błędzie nowszych historyków, i wyraźnie charakteryzował wielkich ludzi starożytności klasycznej jako symbole przez księgi, ale nie przez życie prawdziwe stworzone. Zsumowanie drobnych czynów małuczkich jednostek odbywa się zawsze w podaniu; promienista aureola, którą Gallus obtoczył skronie Bolesława Wielkiego, wzięła swe blaski z wspomnień całego okresu ubiegłego do chwili skreślenia Gallusowego panegiryku. Dostarczyła też barw do niego prześladująca zawsze ludzi prawda czy mania oglądania raju *za sobą*.

I rozrósł się tak przemożnie, w Gallusa i Szajnochy opisie, ten syn pierwszego w Polsce chrześcijanina, że nie zostało miejsca w dziejach dla tych, którzy jego wnuka i jednego prawnuka wypędzili, a drugiego spętali swą wolą w bezwładne narzędzie. A gdy patrzymy na dzieje Władysława II i jego następców, mimowoli się na usta ciśnie pytanie: toż to niedawny ród bohaterów do szczętu się wyrodził! Toć to już doba upadku nastała?

Zapewne „i w bujnym kwiecie robak się lęgnie" i naród, jak każdy organizm, powstając już pod wpływem wewnętrznych i zewnętrznych przyczyn, zaczyna obumierać, i w samych warunkach swego istnienia i chluby, znajduje przyczyny nieodwołalnego upadku i hańby. Fatalnem [1]) było narodu przeznaczeniem, powiada Szujski, rozwinąć potężne życie indywidualne i skruszyć niem organizm państwa, wprzód go otoczywszy największym blaskiem działalności jednostek. Atoli, dopatrywać się w samym zarodku bytu objawów tak potężnych, że im równych prawie całe dzieje wykazać nie potrafią, jest niepojęciem życia narodu, jako organizmu, objawiającego się wszędzie i zawsze całym, ale w powolnych, bardzo misternie ustopniowanych fazach i przejściach.

Z tych zasad wychodząc, chcielibyśmy dziejom naszym początkowym zwykłą miarę ludzkich spraw przywrócić. Zamierzamy wyszukać w źródłach, o ile te nam były dostępne, wskazówki bytu i działania osób innych oprócz władców, i ułożyć z tych wskazówek taki obraz życia, w którymby każdorazowe społeczeństwo, choćby kilku jednostkami wyraźnemi i tłem rysów ogólnych dało się scharakteryzować. Słowem, będziemy się starać uzupełnić znane już nam rysy książąt panujących wizerunkiem ich współdziałaczy oraz społeczeństwa i przyrody, których są wytworem, organem i przewódcą.

A w tym względzie, nie zapominajmy, że nietylko męska połowa narodu naszego zasługuje na bliższą uwagę badacza. Poczynając od Dąbrówki, z której dłoni zdrój wody odkupienia i wolności spływa na poczynające się dzieje, zawsze niemal torem spółczesnej beletrystyki kryminalnej, zachodzi potrzeba zapytać się przy ważniejszych objawach naszej historyi; a gdzie tu kobieta? I co prawda „szukaj kobiety" stało się hasłem nowszej naszej historyografii.

I czyż Jadwiga i Jagieło nie jest może najznakomitszem, artystycznie także rzecz biorąc, oraz największem co do rozciągłości, dziełem Szajnochy? Wyświetlenie ciemnych stron życia Jadwigi i jej babki Elżbiety Łokietkówny, stanowi charakterystyczną wielce stronę badań tego uczonego. Podania o Oświęcimach, Klementyna z Sobieskich Sztuartowa, matka domu Jagiellonów, Jadwiga bawarska, Wojna o cześć kobiety... są treścią oddzielnych jego szkiców. Barbara Radziwiłłówna przeważnie zajęła Balińskiego. K. Hoffman złamał kopią w obronie Agnieszki, żony Władysława Krzywoustowicza i dał przeczuć rolę dziejową Salomei hr. Bergen, wdowy po Bolesławie III, jaką odegrała w zamieszkach nastałych z jego zgonem, w rodzinie Pastów. [2])

Autor wspomniany, nieprzestając na tem, zwrócił uwagę czytelników na okoliczność, że Maryą Ludwikę Gonzagę już uniewinniono. (Plebański mianowicie tej rehabilitacyi dokonał ze szkodą Jana Kazimierza.) A nadto Przegląd krakowski, z roku 1869 pomieścił obronę czynów Bony Sforcyi.

Al. Przeździecki wydał olbrzymie tomowe dzieło o Jagiellonkach, które stanowi znakomity przyczynek do dziejów niewiasty polskiej. Oprócz dawniejszej swej pracy o Niewiastach polskich, K. Wł. Wójcicki drukuje nową w Bluszczu, p. t. „Trzy wieki kobiety," uzupełniając niejako przerwaną na dziejach pogańskich pracę o kobiecie, Z. Kaczkowskiego. Wł. Chomętowski drukował w Wieku i osobno, dziełko o kobiecie polskiej i słowiańskiej w XII wieku, i o stanowisku jej praktycznem w życiu naszem. Kantecki wystąpił w obronie Elżbiety Pileckiej, w rozprawie p. t. „Trzecia żona Jagiełły."

[1]) „Fatalnem" rozumiemy: koniecznem jako rozwój organiczny wspólnej wszem Słowianom zasady indywidualizmu, od którego Polska nie mogła się wyłamać.

[2]) Taka jest jedynie autentyczna forma tego imienia, wedle rękopisów, wykryta przez Bielowskiego.

Gloger, podobno pod pseudonimem Psurskiego, wydał Obchody weselne, w których dotykał najmniej zbadanej części dziejów naszej kobiety, bo doby pogańskiej, o ile się jej wspomnienie zachowało w szczątkach teraźniejszej wiejskiej obrzędowości i pieśniach.

Jeszcze dawniej Magnuszewski pokusił się w Niewieście polskiej scharakteryzować trzy różne wiekiem objawy miłości kobiecej...

Oto dorywczy, więc niezupełny spis dzieł zajmujących się polskiemi kobietami. Jest on dość pokaźny, a jakże mu daleko do wyczerpania przedmiotu!

Ileż tam stron ledwo dotknięto! Ile jeszcze ukrytych w tajemnicy zostało!

A jednak, jeżeli mógł słynny polityk Grecyi mówić: „Ateny rządzą Grecyą, ja Atenami, mną moja żona, a nią nasze dziecię," to o ileż słuszniejszem jest to zdanie dla scharakteryzowania życia naszego kraju i niektórych onego czynników? Tam gdzie, jak mówi Szujski, wszystko stało ludźmi nie instytucyami, kobieta zawsze stanowczy wpływ musiała wywierać na losy kraju, czy to ubocznie przez wychowanie obywateli i pożycie domowe, czy wprost, ilekroć się wyruszyła z domowego zacisza, na jasną widownię dziejów!

Już w ich zaraniu spostrzegamy postać niewieściego apostoła, Czeszki Dąbrówki. Na schyłku doby Pastów, zjawia się węgierska apostołka Jadwiga. Postać ostatniego z Jagiellonów ukazuje się wśród sprzecznych typów matki, trzech żon, i sokołów!

Prawie cała doba króli obieralnych stawia obok męskich władców, mniej więcej wydatne, osią coraz większych dziejów będące, ich małżonek postacie....

Rzucamy zasłonę na dwór Augusta II, tego saskiego Ludwika XIV. Pomijamy milczeniem złudzenia sentymentalne pana stolnika i posła, już gdy był królem, i tym dolegliwsze dla kraju.

Czyż potrzebuję wreszcie pytać się kto i dlaczego w Ameryce pod gwiaździstą młodej rzeczpospolitej chorągwią, kształcił się na „naczelnika?"

Najbliższa przeszłość zresztą, nakazuje wszędzie obok niezawsze silnego Adama, zawsze potężną i zwycięską stawiać Ewę.

(d. c. n.)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg)

Łodzie jednak wciąż jeszcze w raz obranym płynęły kierunku, głównie dla dotrzymania placu rybom, gdyby te poprostu tylko były się zanurzyły, jak to bywa nieraz i niezadługo miały znów pojawić się w tem samem miejscu. Wtem nagle na lewo, w nieznacznej odległości dostrzeżono wznoszący się strumień, ku któremu też niebawem zwrócili się z łodziami swemi, dwaj pierwsi harpunierzy. Za tymi ostatnimi puścił się i czwarty, a tylko jeden Holk wytrwał w pierwotnym kierunku, postanowiwszy zachować takowy jeszcze przez czas pewien. Sądził bowiem, że tym sposobem natrafi na ryby pozostałe, albo, że te, które wprzód były widzialne, powrócą tą samą koleją, w takim zaś razie byłby wyprzedził swoich towarzyszy.

Łódź przeto ostatnia nie suwała już tak szybko po zwolna wzbierających falach.

W końcu harpunier kazał opuścić żagiel i czekać, aż ryby znów na wierzch wypłyną, gdyż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie o wiele się oddaliły. Oczy wszystkich z oczekiwaniem zwrócone były naprzód, gdy nagle tuż za nimi, na jakie może pięćdziesiąt kroków usłyszano mocno syczący strumień wieloryba. Wszyscy też obejrzeli się w tamtą stronę. Ci nawet, którzy jeszcze w życiu swojem nie widzieli wieloryba, poznali odrazu, że ten olbrzym prosto dąży ku nim.

— W górę żagiel! do wioseł, chłopcy! zawołał sternik i na bok przechylił statek.

Jeden z majtków schwycił za żagiel, ale nie umiał sobie z nim poradzić, porwał za sznur niewłaściwy i przez to sprawił nieład w całem urządzeniu okrętowem, inni przypadli do wioseł i ze wszystkich sił poczęli robić niemi.

— *Back your oars starbord!* zawołał harpunier.

Ale, miły Boże, nowicyusze nie wiedzieli, co miało znaczyć *back your oars*, ani co *starbord*, pracowali tylko wiosłami tem gorliwiej, o ile Jerzy, który pojmował niebezpieczeństwo, z całą gwałtownością czynił to samo. W tej samej chwili olbrzymia ryba, popędziwszy kilkaset kroków pod wodą, znów wypłynęła na powierzchnię—tuż około łodzi, która jedynie na skutek wysiłków Jerzego cofniętą została o tyle, że potwór, zetknąwszy się z nią prawie, mógł ją minąć bez uderzenia.

— Baczność, Bill! zawołał harpunier do sternika, który, nie zważając na niebezpieczeństwo, podniósł harpunę, gotów do rzutu—jesteśmy zablisko, zginęliśmy, jeśli nas dopadnie,

Bill nic nie odpowiedział—pozwolił rybie przepłynąć tuż około łodzi, może na połowę jej długości, potem zaś zatopił weń raczej, aniżeli rzucił harpunę, do tego stopnia, że zwierz rażony po chwili już wyrzucił strumień wody z krwią zmieszany, z wściekłością przytem wywijając ogonem.

Szczęściem przecież łódź nie była zbyt blizko wieloryba; by jej ten mógł jakikolwiek szwank zadać. Oprócz tego Jerzy przyskoczył do żagla, rozwinął linę i szybko ją przymocował, a sternik pochwycił za ster, a tak, łódź niezadługo wyszła z niebezpieczeństwa.

Teraz znów harpunier stał obok lancy swojej, ręką wskazując kierunek łodzi. Sternik tak doskonale ugodził potężnego wieloryba harpuną, iż ten odrazu zionął potokiem krwi i nie mógł na chwilę opierać się dłużej, sznur począł się zginać, musiał być przyciągnięty—coraz bliżej i bliżej byli zdobyczy swojej — a może w kwadrans potem leżał na wadze kolos bez życia—łup zwycięzców!

Wtej chwili dopiero ludność na łodzi miała czas obejrzeć się za okrętem i innemi łodziami, gdyż do tej pory wszyscy zajęci byli tylko myślą złowienia wieloryba. Okręt, korzystając z wiatru przyjaznego, znajdował się blisko nich; a nadto wyraźnie mogli rozpoznać, że i inna także łódź, lubo jeszcze bardzo od nich oddalona, zbliżyła się do wieloryba i szarpaną była przez niego z szaloną szybkością. Później okazało się, że to była łódź pierwszego harpuniera, której przybyła na pomoc łódź czwarta. Drugi harpunier przedsięwziął połów na własną rękę—ale bezskuteczny i dlatego przyłączył się znów do pierwszego, w celu zabezpieczenia dość jeszcze ożywionego wieloryba i rzucenia drugiej harpuny. Szczęśliwie mu się to udało, tak, że w pół godziny może pierwszy harpunier mógł przypłynąć ze swoją łodzią i zadać olbrzymowi cios śmiertelny.

Okręt stanął wzdłuż wieloryba złowionego przez trzeciego harpuniera, przytwierdził, go i z ciężarem tym u boku popłynął do wieloryba drugiego, którego przycholowały tymczasem trzy pozostałe łodzie. Teraz wśród wyjątkowo spokojnego powietrza, zaczęło się wyrzynanie *blubberu* (sadła), windowanie go— a w końcu wygotowywanie i wytapianie.

VI. Kucharz.

Jerzy z całej duszy brał udział we wzburzeniu powstałem w czasie połowu, przez ten krótki czas nawet zapomniał o własnym losie. Teraz jednak wróciło mu poczucie nieszczęścia w trójnasób silniejsze, całemi dniami bowiem wszyscy na okręcie zajęci byli ciężką, jednostajną pracą, a godzina mijała po godzinie, dzień po dniu upływał bez najmniejszej zmiany.

On sam przytem skazany został na robotę najwstrętniejszą, siekanie sadła w kawały i rzucanie w przeznaczoną na to komorę. Potem zaś musiał razem z innymi podkładać ogień pod kotły i posiekane sadło wygotowywać. Na tym stopniu szerokości geograficznej pogoda była zawsze niepewną i nie należało tracić ani jednej chwili spokojnej.

Że to on właśnie odważnem działaniem swojem wybawił łódź całą, gdy wieloryb pojawił się tuż za nią, o tem na pokładzie nie mówiono wcale.

Była to rzecz naturalna, i tylko, gdy zachorował jeden z ludzi pracujących przy drugim harpunierze, a ten chciał wziąć na łódź swoję Jerzego, Mr. Holk niechciał go odstąpić. Był mu bowiem potrzebnym, jak mówił, a kolega jego mógł się postarać o kogo innego.

Betsy-Crow zdołała zaledwie zabezpieczyć zdobycz swoję, lecz ani w połowie jej wygotować i w beczki wrzucić, gdy znów wiatr zaczął dąć z niezwykłą gwałtownością. Od strony północo-wschodu huczało z całą siłą. Że zaś kapitan niechciał stracić tak pomyślnej sposobności do okrążenia przylądka, poraz drugi kazał rozpuścić żagle, pogasić ognie pod kotłami i jakby pół-wichrem niesiony, w dalszą udał się drogę. Ależ co za życie było teraz na pokładzie!

Wprawdzie powietrze było chłodne i tłuszcz leżący jeszcze na dole nie rozkładał się z taką szybkością, gdy jednak upłynęło dziewięć dni i nawet pomyśleć nie mogli, aby wśród takiego stanu morza ognie na nowo rozłożyć—po całym okręcie rozszerzała się woń prawdziwie zabójcza, a na przodzie nawet nie można było wytrzymać.

Jerzy ciągle jeszcze miał nadzieję, że przybiją do wysp Falklandzkich, by tam, jak sądził pracować spokojniej. Nieznanym mu był jeszcze wstręt, jaki mają nie żeglarze wogóle, ale kapitani okrętów, do stawania na stałym lądzie, głównie dlatego, że narażeni tam są na wielkie niebezpieczeństwa przy wpływaniu i wypływaniu, oraz na rozmaite opłaty. Żaden kapitan nie wyląduje inaczej, jak w wypadku ostatniej konieczności, a woli zawsze pozostać na otwartem morzu. W szczególności zaś kapitani okrętów zajmujących się połowem wieloryba wiedzą dobrze, że większa część pozbieranej przez nich załogi czeka tylko sposobności ucieczki,—a tej nie radziby dobrowolnie im dostarczyć.

Wśród szumiącego huraganu opłynęli przylądek Horn, a przez cały ten czas morze było tak niespokojne, iż o jakiejkolwiek robocie na pokładzie myśleć nawet było nie podobna. Ogromna ilość niezakonserwowanego jeszcze tłuszczu zagrażała nawet bezpieczeństwu okrętu, przechylając go to na jednę, to na drugą stronę. Z trudnością tylko udało się ludziom z załogi, przez wsunięcie przygotowanych na ten cel ścian bocznych, sadło nagromadzone

ścieśnić jako tako, a przynajmniej w jednem je utrzymać miejscu.

Jerzy sam ciągle jeszcze nie wiedział, gdzie właściwie się znajdowali, wnosząc zaś z biegu okrętu, miał nadzieję, że ten podąży do portu, a może się postara stanąć w Monte-Video. Kucharz mu jednak powiedział, że się myli. Krzyż bowiem południowy właśnie stał ponad ich głowami, a wszystek ląd stały Ameryki rozpościerał się na północ od nich.

Tak też było w istocie, a Jerzy, który dotąd, bez względu na wszystko, spodziewał się znaleść ratunek dla siebie na oceanie atlantyckim, zadumał się teraz zrozpaczony i ponury.

Gdyby przynajmniej napisał list do domu? Ale gdzież okazya do wyprawienia go? Wprawdzie kiedy niekiedy dawały się widzieć żagle na horyzoncie, dwa okręty przebiegły nawet mimo nich—ale oba wtedy raczej cofnęły się nieco, unikając zbytniego i niebezpiecznego zbliżenia; o spotkaniu w czasie burzy na morzu nie mogło być mowy.

Niemniej przeto postanowił napisać list—wszakże traf mógł się nawinąć niespodzianie, na taki wypadek zaś nie chciał się narażać na gorzkie wyrzuty sumienia, że lekkomyślnie zaniedbał sposobnej chwili. Trzeci harpunier, który od czasu ostatniej jazdy na łodziach, obchodził się z nim nierównie grzeczniej jak przedtem, pozwolił mu na ten cel kajuty swojej i przyrzekł pismo jego włożyć do listu, jaki sam miał zamiar wyprawić do domu, a to przy pierwszej sposobności, którą naturalnie łatwiej mógł znaleść harpunier, aniżeli prosty majtek. Tymczasem nic więcej zrobić się nie dało, a *Betsy Crow* sunęła ku północy, korzystając z pomyślnego wiatru.

Nakoniec wygotowano tłuszcz pozostały i zabezpieczono go, złowiono trzeciego wieloryba i znów monotonnie płynęło życie na pokładzie.

Jerzy wykonywał robotę, jaką mu dawano, ale zwykła jego szczerość i otwartość uległy pod naciskiem ciężkiego smutku. Dzień i noc obraz ukochanej stał przed oczyma duszy jego, dzień i noc rosła tęsknota za nią. Kiedy siedział na przodzie i widział fale rozbijające się u nóg swoich, napadały go dzikie myśli samobójcze—i tylko wspomnienie o matce, o rodzicach—wstrzymywało go od tego.

Wprawdzie kucharz, który jeszcze często szukał towarzystwa jego, radził mu w ten sam co i on sposób kupić sobie zapomnienie o przeszłości, za pomocą butelki, Jerzy jednak nie zwracał na to uwagi, gdyż zbyt wiele jeszcze miał poczucia godności własnej, by tak rozpaczliwego i wstrętnego zarazem chwycić się środką. Sam kucharz zresztą był mu w tej mierze odstraszającym przykładem.

Na pierwszy rzut oka można było poznać po nim, że żył kiedyś w lepszych warunkach, ale że pijaństwo go zniszczyło i pociągnęło do upadku, aż wreszcie stał się tem, czem teraz był w istocie—obrzydiiwym, brudnym opojem, którego nieraz zmusić było potrzeba, żeby się umył. Zagadkowem było przytem, skąd dostawał wódkę. Z początku wprawdzie w skutek zrzeczenia się Jerzego otrzymywał dwie porcye trunku. Ale taraz i to ustało—a on bardziej jeszcze bywał nietrzeźwy, jak przedtem. Musiał przeto wynaleść sobie inne jakieś drogi do zyskania zakazanej wódki, pomimo zaś, że go szpiegowano ze wszech stron—nigdy nie był na uczynku schwytanym.

Jerzy starał się go nawracać. Mówił mu jaką mógł mieć nadzieję wydobycia się z błota, w które popadł, kiedy już był ugrzązł w niem całkowicie? Któżby mu znów powierzył okręt, gdyby się na lądzie w takiej ukazał postaci?

Kucharz potrząsał głową.

— *I'm a gone sucker!* rzekł, nic już ze mnie nie będzie. Kiedy już raz kto upadnie, depczą po nim drudzy—a choćby nawet chciał się podnieść—nie może. Na cóżby się to zdało, żebym żył porządnie—sądzisz, Jerzy, że ktokolwiek z *rhederów*, (właściciele okretu) wdałby się ze mną? Nigdy!

— A nie moglibyście zaprzestać pić?

— Czy mógłbym? rzekł kucharz pogardliwie, ja wszystko mogę, co chcę, ale nie chcę, bo nie widzę do tego powodu. Tyle tylko wiem, że gdybym znów miał statek, nie pozwoliłbym na kroplę araku na pokładzie i dawałbym ludzim gorącą i dobrą kawę, jak to już na niejednym okręcie jest w zwyczaju. Ale, że tylko jestem kucharzem i pewnie nim pozostanę tak długo, aż mi gardłem wyleci woda—trzymam się tego, co bezpośrednie—wódki—i—pal dyabli te myśli, można z nich oszaleć.

— Jak się nazywacie naprawdę—jak się nazywał wasz okręt?

— I pocóż ci ta wiadomość?.... zaśmiał się głosem ochrzypłym i słumionym, tu na pokładzie nazywam się doktorem, a jak się nazywał mój okręt? Do pioruna—choćby to był latający Holender—ale tej nazwy nigdy już nie wymówię, bo za każdym razem, gdy to czynię, przez trzy dni potem jestem chory i nieszczęśliwy. Nazywaj mnie tu doktorem, Jerzy, jak ta hołota, a reszta niech cię nie obchodzi—stary grat leży na dnie morskiem, a dawny jego kapitan—ba!—jest kucharzem na *Betsy-Crow* i płynie za obrzydliwemi wielorybami—pal go dyabli!

Z człowiekiem tym nie było co mówić więcej; dziś już znów dolał porządnie, gdy zaś zeszedł do kambuzy—kuchni okrętowej, ponad którą był otwór czworograniasty dla wpuszczania powietrza - Jerzy spostrzegł niezadługo, jak z otworu tego wysunęło się dno butelki, zatrzymało się tam kilka sekund i znikło. Był to kucharz, który w niskim przybytku swoim nie miał dosyć miejsca, gdy stojąc, chciał pić z butelki i z tego powodu musiał ją podnieść wysoko i wychylić przez otwór, by resztki z niej wydostać.

Na oceanie południowym złowili jeszcze trzy wieloryby. Jedyną nadzieją Jerzego było Vallparaiso, do którego szerokości, zdaniem kucharza, się zbliżali. Wtem nagle okręt zmienił swój kierunek i zmierzał wprost ku wschodowi. Jerzy wszakże, który już był stracił prawie wszelką nadzieję, wcale na to nie zważał, z sześciomiesięcznej bowiem włóczęgi wiedział, dobrze, że taka zmiana biegu, prócz przypuszczenia kapitana, że tu lub owdzie znajdzie ryby, innego nie miała znaczenia.

Za nimi słońce zapadło w morze—przed nimi szara, gęsta mgła unosiła się nad wodą—a w górze, z lewej strony widzieli na horyzoncie, jakby wąski pas bladoróżowy, cudownie wystrzępiony.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Uniwersytety Austryackie, których jest siedem, posiadają następujące liczby Profesorów i Studentów: w Wiedniu 280 prof. i 4261 stud. w Gratzu 49 prof. i 848 stud. w Insbruku 58 prof. i 529 stud. w Pradze 120 prof. i 1,710 stud. we Lwowie 45 prof. i 1,067 stud. w Krakowie 60 prof. i 557 stud. w Peszcie 116 prof. i 1885 studentów.

Lichwa, ta straszna plaga trapiąca od dawna Galicyą, w ostatnich czasach tak groźne przybrała rozmiary, iż kilku z deputowanych na Sejm podniosło głosy domagając się śródków w drodze ustawodawczej dla położenia jej tamy. Zniesiona w Austryi prawna stopa procentowa, zamiast jak się słusznie spodziewać należało, ograniczyć lichwę owszem wydała jej na pastwę biedny a ciemny lud wiejski oraz rzemieślników i drobnych przemysłowców.

Pamiętany niedawno głośną sprawę Dra. Wyrobka, który w swej obronie sądowej w lichwie wskazał źródło swego przestępstwa. Zdaje się, iż Sejm przychyli się do wymownie postawionych wniosków i uchwali przywrócenie prawnej stopy procentowej.

Rękopisy: kilka tomów *o Sejmach polskich* oraz przekład Lengnicha *Dzieje Pruss polskich od r. 1526 do Zygmunta I* złożone zostały w Redakcyi Niwy, Autor p. J. W. M. Modzelewski poszukuje nakładcy na wspomnione dzieła, będące owocem kilkodziesięcioletniej jego pracy.

Statystyka Londynu. wykazuje że w liczbie 4 milionów mieszkańców jakie posiada owe miasto, jest więcej żydów niżeli w Palestynie, Szkotów niźli w Edynburgu, więcej Irlandczyków niż w Dublinie i więcej Katolików aniżeli w Rzymie.

Szkło elostyczne. Przemysłowiec francuski de la Badie wynalazł szkło elastyczne, któremu rokuje wielkie upowszechnienie. Próby wyszły bardzo korzystnie i wynalazca uzyskawszy przywilej buduje wielką akcyjną fabrykę w Bourg. Wzmiankowane szkło uderzone o ziemię odskakuje wydając brzęk metaliczny.

Drukarnia Słowiańska w Odessie, przed rokiem założona przez p. Bukowieckiego wydała także kilka książek w języku polskim; pomiędzy innemi wyszły z niej dwa dziełka p. Leszka Niezabudki: *Trojaki Kierunek badań psychologicznych* Studyum filozoficzne i *O celowniku w języku polskim* Studyum filologiczne Dochód z przedaży tych książek przeznaczony przez autora na Osady Rolne i pogorzelców Siedleckich. W tymże mieście otwarta również została przez p. Gintyłłę *księgarnia* powszechna a przy niej czytelnia polska.

Palenie zwłok. Myśl palenia zwłok, zamiast dotychczasowego grzebania ich wziemi pozyskała dość licznych zwolenników i żywo jest agitowaną. w Szwajcaryi pobudowano stosowne na ten cel piece a we Wrocławiu niedawno odbyła się pierwsza próba spalenia zwłok ludzkich. Nowość ta ma i licznych przeciwników, w tych dniach np. w Londynie gdy Komitet protegujący palenie ciał odbywał swe narady wdarło się około 200 kobiet i z oburzeniem zaprotestowały przeciw paleniu zwłok, jako ubliżającemu idei cywilizacyjnej.

Demonstracye te hałaśliwe poparł liczny tłum zebrany przed gmachem posiedzeń.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Choro....... w Dynajcach.—Za słowa uznania i zachęty serdeczne dzięki. Nadesłane pieśni tchną myślą zacną i szlachetną dążnością. Daj Boże, aby przykład pański był skuteczny.

Bezimiennemu autorowi: „Kartek z podróży po gubernii Łomżyńskiej i Augustowskiej.” Wszelkich osobistości musimy starannie unikać i dlatego rękopis jest do zwrotu w redakcyi.

Panu M. J. w B.—Numer 4 był wysłany w czasie właściwym; obecnie na skutek pańskiej odezwy wysłaliśmy go powtórnie.

Panu Sewerynowi War.... w Stawiszczach.—Numery 1 i 2 były wysłane—dla kompletu wysłaliśmy je powtórnie.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**